

# Rozdział 1

**T**ego lata pogoda nie rozpieszczała mieszkańców Bieszczad.

Ciągłe kilkudniowe opady, przerywane co najwyżej jedną dobą bez deszczu, skutecznie zniechęcały turystów, nie tylko do pieszych wycieczek, ale i do przyjazdu w ogóle. Choć na niebie jakby nieco pojaśniało; ciężkie ołowiane chmury odrobinę rozeszły się na boki, dając ludziom nadzieję na chwilę światła.

Hanka wyrzała przez małe okienko wydawcze, rozprostowała ścierpnięte od bezruchu ciało i wyszła na zewnątrz. Maleńka budka z goframi i hot dogami nie była najwygodniejszym miejscem pod słońcem, tymczasem dziewczyna od samego rana siedziała skulona wewnątrz. Na małym zydelku, z książką w ręce.

– No i pięknie... Kolejny dzień bez utargu! – mruknęła pod nosem i roztarła zziębnięte dłonie.

W pamięci wykonała codzienne podsumowanie, doliczając do rachunku strat kolejne. Była głodna,

więc zamknęła budkę i dla rozgrzewki pobiegła do pobliskiego sklepiku.

Leciwa sklepikarka powitała ją serdecznie.

– I jak tam, moje dziecko? Naszykować ci kajzerkę?

– Tak, dziękuję. Dwie poproszę. Ech, dla mnie samej nawet nie opłaca się włączyć maszynki do gofrów... Prądu szkoda.

– Aż tak źle? – zatroskała się staruszka.

– Strasznie źle, pani Mario. Przekłęta pogoda. Tak parszywa, że psa by nie wygnał, a co dopiero dziecko po gofra! O turystach już nawet nie marzę, bo pewnie do końca sezonu nie zobaczę ani jednego.

– Może nie będzie tak źle... – Pani Maria położyła na ladzie dwie bułki z żółtym serem i szynką.

– Ile płacę? – Hanka odruchowo wsadziła rękę do kieszeni.

Wyszperała jakieś drobne.

– Nic, kochana. Dziś na koszt firmy. – Starsza pani uśmiechnęła się chytrze i przeszła do rzeczy. – A ty nadal te makijaże robisz?

– A skąd! Nie mam komu. Ostatnio nikt się w tej dziurze nie żeni...

– A mojej synowej na ślub to byś nie wyszykowała?

– Czemu nie? – wymamrotała Hanka niemrawo.

Mrzonki o studiach na kosmetologii już dawno wrzuciła do przegródki z napisem „niedoścignione i niemożliwe”, chociaż cieszyła się uznaniem tak

w kwestii dobierania i wyczucia koloru, jak i umiejętności w zakresie make-upu i stylizacji. Niestety, na prowincji mało kto korzystał z takich usług, a o przeprowadzce do większego miasta Hanka mogła jedynie pomarzyć. Tkwiła po uszy w długach, zatem na przedstawioną jej właśnie propozycję zgodziła się z radością. A pomyśleć, że jeszcze niedawno budka z goframi jawiła się jej niczym dar niebios! Umowę najmu podpisała bez zastanowienia; w sezonie miała nadzieję zarobić na koszty i do tego odłożyć co nieco na później, tymczasem wszystko poszło nie tak. Winna była, oczywiście, fatalna deszczowa aura, która skutecznie krzyżowała dalekosiężne plany. Zamiast więc radości z niewielkiego dochodu, każdego dnia odbywało się rytualne szacowanie rozmiarów niepowodzenia. Dalsza edukacja stawała się coraz mniej realna.

Hanka miała na karku już blisko trzydziestkę, lecz czuła się tak, jakby dopiero zaczynała życie. Mimo że solidny jego kawałek miała już za sobą. Urodziła się w Warszawie, ale niedługo później jej matka porzuciła stołeczne życie i zaszyła się w bieszczadzkiej głuszy. Poczęcie Hanki nastąpiło w wyniku romansu z żonatym mężczyzną, który obiecywał złote góry, dopóki nie okazało się, że na drodze do wspólnego szczęścia pojawił się kłopot, czyli ciąża. Na wieść o niej delikwent nawet nie próbował kłamać, że jest wolny – jak niepyszny położył uszy po sobie i grzecznie powrócił na łono rodziny, choć w zamian za milczenie wypłacał kochance godziwe alimenty. Niestety, gdy Hanka była już w liceum, jej ojciec uległ poważnemu wypadkowi i jako osoba niezdolna

do pracy przestał płacić wystarczająco. A matka, która miała siebie za kobietę honorową, odpuściła. Co z tego, że źle pojmowana duma nie pozwalała i jej, i dziecku egzystować na przyzwoitym poziomie? Jako plastyczka z wykształcenia miała się rozmaitych prac rękodzielniczych, ucząc jednocześnie plastyki w miejscowej szkole, dopóki nie opuściła tego padołu. Ponieważ Hanka odziedziczyła po rodzicielce artystyczne zdolności, siłą rzeczy odziedziczyła także jej posadę. Na brak stosownych uprawnień dyrektor podstawówki przymknął oko – zażądał jedynie odbycia dwóch kursów doszkalających i zezwolił dziewczynie na nauczycielską karierę.

Ponieważ Hanka została sama jak palec, oddawała się nowemu zajęciu z zapalem. Z czasem wszystko jakoś się poukładało, gdy raptem miejscowość lotem błyskawicy obiegła hiobowa wieść: planowano zamknąć szkołę. Na nic zdały się rodzicielskie protesty i petycje, niż demograficzny zrobił swoje. Część ciała pedagogicznego znalazła pracę w okolicznych placówkach, ale na panią od plastyki zapotrzebowania nie zgłoszono. Szansa na potencjalny etat jawiła się ładnych kilkadziesiąt kilometrów od domu. Tyle że opcję tę od razu zdyskwalifikowały koszty dojazdu i Hanka została bez zajęcia. Próbowwała wprawdzie sprzedać niewielki domek po matce, ale chętni jakoś nie stali w kolejce. Mogła pomyśleć o jego wynajmie na czas wakacji, ale to nie załatwiało sprawy, bo przecież i sama musiała gdzieś mieszkać.

Marzenia o przeprowadzce rozwiąły się jak sen złoty.

Budynki po dawnej szkole podstawowej zaadaptowano na hotel, w którym Hanka zaczepiła się w recepcji, ale szczęście nie trwało zbyt długo – starzy właściciele wkrótce sprzedali interes i wyjechali za granicę, a nowi pozbyli się personelu, zatrudniając licznych członków rodziny. Trzeba było schować dumę do kieszeni i zarejestrować się na bezrobociu. O zasiłku Hanka mogła zapomnieć, ale przynajmniej przysługiwało jej ubezpieczenie zdrowotne. I pracowała, oczywiście na czarno. Opiekowała się dziećmi, próbowała sprzątać czy pomagać w obejściu, lecz groszowe wynagrodzenie nie wystarczało na życie. Niedawna propozycja objęcia i poprowadzenia punktu gastronomicznego nad pobliskim zalewem miała być szansą na odbicie się od finansowego dna.

– Oczywiście, pani Mario – poprawiła się natychmiast. – Dla pani cena promocyjna.

– To znaczy: ile? – Sklepiarka okazała się dociekliwa.

– Sto złotych.

– Tak drogo?

– To połowa tego co w Krośnie... – Policzki dziewczyny zalał ciemny rumieniec. Sklepowa uniosła lewą brew. – No dobrze. Jeśli dla pani, wezmę pięćdziesiąt.

– Jak po pięćdziesiąt, to wszystkie cztery odstrzelimy się jak stróż w Boże Ciało. W sumie dwieście. Pasuje?

– Och, dziękuję!

Zachwycona Hankaomal nie uściskała kobiety. Obietnica zastrzyku gotówki sprawiła, że przez chwilę przestała martwić się o jutro.

W podskokach pobiegła w stronę budki. Odruchowo rozejrzała się wokół, ale nie dostrzegła żywej duszy. Liczne stragany z tandetnymi pamiątkami stały zamknięte na głucho. Miejsce, zazwyczaj tętniące życiem, wyglądało na kompletnie wymarłe, nie licząc obecności pojedynczego sprzedawcy, który najwyraźniej utracił nadzieję na jakikolwiek utarg tego dnia, bo właśnie zakładał kłódkę.

Hanka postanowiła zrobić to samo. Lunęło ponownie, zatem szczerlnie owinęła się przeciwdeszczowym płaszczem i rozpostarła nad głową parasol. Człapiąc stopami obutymi w wysokie, nieco za duże gumki, nie zważała na błoto i głębokie kałuże. Deszcz zacinał od strony zalewu, porywisty wiatr tarosił bezlitośnie. Był tak silny, że aż zapierał dech. Skulona z zimna dziewczyna skupiła się na walce z oporem powietrza, więc nie zauważyła samochodu, który zahamował tuż obok niej. Zdezelowana terenówka z impetem zaryła w kałużę, przy okazji rozbryzgując brązowe błoto.

– Niech pani wsiada! – dobiegł głos z wnętrza auta. – Podrzucę panią!

– Dziękuję, nie trzeba. Mieszkam niedaleko.

– Nalegam! Przecież wieje, jakby się kto powiesił! – Mężczyzna nacisnął klamkę od strony pasażera i uchylił drzwiczki. – No już, bo się do auta należy!

– Dziękuję. – Zasapana Hanka wpakowała się do szoferki.

– Ja panią znam... Pani pracowała w hotelu! – wykrzyknął z entuzjazmem facet, jakby rozpoznał w Hance co najmniej Julię Roberts.

– Zgadza się. Ale to już od dawna nieprawda.

– Wiem, znam sprawę. Zajmowałem się tam instalacjami. Robiłem projekty.

– Nie przypominam sobie pana...

– A ja cię kojarzę. Jestem Marcin.

Dłoń wyciągnęła się w stronę Hanki, opadł kaptur wojskowej bluzy.

– Hanka – wyszeptwała speszona dziewczyna.

To, co ujrzała pod rzezonym kapturem, spodobało się jej bardzo.

Srebrnoszare oczy miały metaliczny poblask, a kanciasta opalona twarz nasuwała skojarzenia z kowbojem albo ogorzałym żeglarzem.

Marcin wrzucił bieg, z niemałym trudem wyprawdzając auto z rozmytego blocka na normalną asfaltową drogę.

– Gdzie mieszkasz?

– Przy poczcie. Niedaleko biblioteki.

Po chwili uaz przystanął pod maleńkim domkiem.

– Kurczę, cholerny ziąb! – Marcin zatarł zziębnięte ręce.

– A może wpadniesz na kawę? Albo na herbatę z imbirem? Nie mam nic innego na rozgrzewkę.

– Hanka nagle poczuła, że wypada jakoś zrewanżować się za podwiezienie. W duchu westchnęła zadowolona, że rano pościeliła łóżko i posprzątała kuchnię.

– Chętnie. Tyle że nie chciałbym się narzucać...

– Nic z tych rzeczy. Wyłączaj silnik i chodź. Luksusów nie oferuję, ale zaraz napalę w piecu. I może znajdę jakąś nalewkę.

– Przecież prowadzę.

– Tylko kapkę, do kawy – uśmiechnęła się Hanka.

– Poza tym policjanci też ludzie i dzisiaj raczej nie będzie im się chciało nikogo łapać. Zwłaszcza na takim zadupiu.

– Racja. Wobec tego kieliszeczek dla kurażu.

– Marcin błysnął w uśmiechu równymi białymi zębami i bez pytania zabrał się do rozpalania w kuchennym piecu.

Z wprawą rozniecił ogień i dołożył drewna. Hanka obserwowała go ukradkiem znad czajnika. Z uznaniem otaksowała szerokie bary i wąskie biodra. Nie uszły jej uwagi również zgrabne pośladki.

– Jak ci idą interesy? – zapytała.

– Doskonale, nie narzekam. Firma już dawno nie miała tak dobrego okresu – odparł, dyskretnie rozglądając się na boki.

Gdyby wewnątrz należało do kogoś innego, zostało by ocenione jako bardzo skromne czy wręcz biedne, ale plastyczne talenty właścicielki zostały wykorzystane do skutecznego zamaskowania permanentnych finansowych niedoborów. Dzięki kilku prostym dekoratorskim trikom, przy minimum nakładów, Hance udało się stworzyć lokum przytulne i sympatyczne.

Stała zatem z dumnie uniesioną głową, bacznie śledząc pełen aprobaty wzrok gościa.

– Jakim cudem? Siedzisz w tej budzie sam jak palec, wokół leje jak z cebra, klientów jak na pustyni,

a ty się cieszysz? – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Nie wiem jak ty, ale ja przez tę pieprzoną aureę mam same długie. Nie wiem, jak dopnę budżet na koniec lata. Już teraz myślę, co jeszcze zastawić.

– Nie, nie. To nie tak.

– Co jest nie tak?

– Źle mnie zrozumiałaś. Ja nie pracuję w tej budzie. Przyjechałem na wakacje. W sumie to na ryby. Wiesz, pouklądać myśli, pozbierać siły. Ale pogoda taka, że odechciało mi się łowienia...

– To co robiłeś dziś nad zalewem? Kradłeś! – weszła mu w słowo.

– Nie jestem złodziejem! – Marcin roześmiał się serdecznie. – Wynajmuję tu domek od ludzi, właścicieli straganu. W domu chwilowo wszyscy chorzy, więc poproszono mnie, żebym podjechał i zabrał parę rzeczy. A jak już byłem na miejscu, uznałem, że wypada trochę przewietrzyć te baranie skóry, żeby nie zatęchły. Jasne?

Z wdzięcznością przyjął kubek wypełniony gorącym płynem.

– To czym się zajmujesz?

– Już ci mówiłem. Mam firmę specjalizującą się we wszelkiego rodzaju instalacjach.

– Aha. Hotelowych?

– Też. Aczkolwiek interesują mnie i nieco większe przedsięwzięcia. Ten tutaj przybytek był raczej wyjątkiem, i tylko dlatego, że znam właścicieli. Często bywałem tu na wakacjach. Po prostu lubię to miejsce, mogłem zatem, niejako przy okazji, dogłębnie tego czy owego. Takie zboczenie zawodowe.

– Jakoś cię nie zapamiętałam... – udała wdzięczny uśmiech Hanka, zdziwiona w głębi duszy własną sklerozą. Taki przystojniak, w dodatku sympatyczny, zdecydowanie był tego wart.

– Zawsze miałem oko do ładnych kobiet. Pamięć też niczego sobie – wypalił Marcin i natychmiast zmyślał się w duchu od głupków.

Wobec tej nieco wycofanej dziewczyny zachowywał się jak kompletny idiota. Nie, nie poraziła go uroda, wzięwszy pod uwagę przybliżane wilgotne kosmyki, brak makijażu i bezkształtny dres, ale dostrzegł, że po gruntownej obróbce upiększającej Hanka stanie się kobietą więcej niż atrakcyjną.

Nie był typem wdzięczącego się bawidamka, ale od kwadransa tracił kontrolę nad własnymi słowami.

– Muszę już lecieć – powiedział. – Dziękuję za poczęstunek. Już mi ciepłej.

– A ja za podwiezienie. Wiesz, chyba zrezygnuję z wynajmu tej budy. Zero dochodu, czynsz nie mały...

– A jakie prognozy na sierpień?

– Nie wiem. Nie mam Internetu. – Speszona opuściła wzrok.

– Nic się nie martw. Mam dojście do profesjonalnych prognoz wojskowych, sprawdzę i przy okazji dam ci znać. Tymczasem do zobaczenia. Nawiasem mówiąc, z czego ta boska nalewka?

– Z pigwy. Rośnie przy drodze.

– Sama robiłaś?

– Zgadza się.

– A zatem masz talent. Pycha!

Marcin zawinął się na pięcie i wyszedł. Szarpany podmuchami wiatru dopadł zdezelowanej terenówki.

Dziewczyna, z nosem przyklejonym do szyby, śledziła oddalające się światła. Nie minęła jeszcze dziewiętnasta, a na zewnątrz było już prawie całkiem ciemno. Jakże marzyła o słońcu! Nawet nie chodziło o zarobek, z którego brakiem niemal się pogodziła, ale jako stworzenie ciepłolubne nie mogła dłużej znieść wilgoci i zimna. Ciemności działały na nią dołująco. Gdzieś kiedyś wyczytała, że w takim stanie ducha człowiekowi dobrze robi solarium, ale niestety w okolicy nie było podobnych atrakcji, a na bilet do Jasła po prostu nie miała kasy.

Przez niespodziewaną wizytę zapomniała odnieść książki do biblioteki i na wieczór została bez lektury. Wykonała kilka codziennych prostych ćwiczeń, wzięła szybki prysznic i położyła się do łóżka. Zaszuchana w niczym niezmacony szum deszczu, liczyła na szybkie odpłynięcie w niebyt, ale nic z tego. Gdy po raz trzeci wstała do toalety, zła na siebie, że nie może zasnąć, wybiła północ. Przez zasnutą chmurami niebo nie widziała księżycy, ale mogła iść o zakład, że właśnie jest pełnia, która działała na nią od zawsze. Dawniej w podobne noce macała ciało w obawie, że wyrosną jej wilkołacze włosy i kły, ale teraz była zwyczajnie wściekła, że nie może po ludzku się wyspać. Kolejny dzień zapowiada się równie beznadziejnie i przygnębiająco jak miniony – pomyślała zirytowana. A dołożywszy do tego niewyspanie, nie zapowiada się w ogóle.

Poza tym Hankę męczyło zdumienie, że nie potrafi pozbyć się spod powiek obrazu nowego znajomego.

To jego postać, nie licząc księżycy, stanowiła kolejny – główny – powód bezsenności.

Hanka nie była typem latawicy uganiającej się za przedstawicielami płci przeciwnej. W liceum plastycznym szeroko pojęta sztuka pochłaniała ją bez reszty, więc siłą rzeczy nie interesowali jej koledzy ze szkolnej ławy. Właściwie swoje pierwsze doświadczenia odnotowała podczas krótkiego zatrudnienia w miejscowym hotelu, gdy próbował ją uwieść syn właścicieli. Niestety, nie był w jej typie, choć z czasem zapewne zyskałby względy obiektu westchnień, na horyzoncie bowiem nie było ani nikogo lepszego, ani najmniejszych widoków na poprawę tej sytuacji. I niemal mu się udało, lecz do przybytku zawitał niespodziewanie pewien czarujący Węgier, badający lokalne złoża ropy naftowej. Przystojny brunet, z którym stosunkowo ciężko było się dogadać, natychmiast urzekł Hankę niewymuszonym wdziękiem i sympatycznym stylem bycia. Przy nim czuła się adorowana niczym gwiazda filmowa. Jak każda młoda dziewczyna z małej miejscowości liczyła, że ukochany Imre zabierze ją dalej w świat.

Ku rozpaczcy syna właścicieli romans kwitł w najlepsze, a węgierski kochanek Hanki odnosił w swojej branży spektakularne sukcesy. Roponośne złożo, które właśnie odkrył, miało wszystkim przynieść fortunę, zapewniając przy okazji młodym przyzwoity start we wspólne życie. Zakochana dziewczyna zapisała się na korespondencyjny kurs węgierskiego i katowała wszystkich wokół łamaną mową, której poza nią samą nie rozumiał nikt. Szczęście nie trwało jednak

długo – jak wkrótce wyszło na jaw, owo cudowne złożo okazało się puste, a przystojnego Węgra wyrzucono z pracy z dnia na dzień. Również z dnia na dzień przestał odwiedzać Hankę i zerwał wszelkie kontakty. Płomienna miłość przeszła do historii. Dziewczyna mocno przeżyła stratę, ale – choć pogrążona w rozpacz – rzuciła się na ojczysty język byłego kochanka z pazurami, pewna, że jeśli jeszcze kiedyś się spotkają, nowa umiejętność pozwoli wygarnąć mu między oczy wszystko, co o nim myśli. Wściekłość Hanka graniczyła wtedy z furją, a rozsądnie ukierunkowana furia, jak wiadomo, przynosi wymierne efekty. Talent do języków sprawił, że po pół roku nauki dziewczyna swobodnie dogadałaby się w Budapeszcie. Specjalnie na potrzeby ostatecznej rozmowy nauczyła się nawet wszelkich najgorszych przekleństw, ale nie miała okazji ich użyć, bo wraz z wypowiedzeniem kontraktu Węgier znikł jak kamfora. Prywatne śledztwo, mające na celu odnalezienie wiarołomnego drania, spełzło na niczym, w hotelowych rejestrach bowiem widniały wyłącznie dane firmy, która po odkryciu pustego złoża i, co za tym idzie, międzynarodowej kompromitacji gorliwie odżegnała się od wszelkich konszachców z uroczym pracownikiem.

Załamana i zraniona Hanka przechlipała kilkanaście wieczorów. Później finalnie podszlifowała węgierski, ale kompletnie oklapła i opadła z sił, gdy w końcu zdała sobie sprawę, że jej zabiegi są beznadziejne. W bieszczadzkiej wsi nowa umiejętność okazała się psu na budę. Mimo to, niejako z rozpędu i przez wzgląd na bliskość wschodniej granicy,

dziewczyna wzięła się za rosyjski. Niemałą przeszkodą był wprawdzie alfabet, ale gdy Hanka opanowała go wreszcie, pokochała mowę Puszkina i tyle. Marzyła, żeby w przyszłości pracować jako tłumacz, choć miała świadomość, że takie rozwiązanie to lata wysiłku i co najmniej kilka dłuższych pobytów za granicą. A na to, niestety, nie miała funduszy. Na wykorzystanie nowo nabytych umiejętności w jakikolwiek inny sposób również nie było szans, więc Hanka tkwiła sobie na intelektualnej mieliźnie, rojąc, by jakoś – jakimś cudem, dramatycznym zrzędzeniem losu – wyruszyć w daleki w świat. Ten nieszczęsny wakacyjny biznes w postaci hot dogów, zapiekanek i gofrów miał pomóc, porażka nie wchodziła w grę... Wszystko zostało wyliczone, oszacowane i skalkulowane na dziesiątą stronę. Gdyby istniał choć cień ryzyka, dziewczyna nie zainwestowałaby resztek oszczędności. Tyle że nikt nie spodziewał się tak fatalnej aury tego lata. Szaty z rozpaczry rwali dosłownie wszyscy – i zwykli ludzie, którzy spokojnie żyli dotąd z wynajmu kwater, i lokalni przedsiębiorcy. Pierwsi po prostu nie zarabiali, drudzy dokładali do interesu. W związku z pasywną pogodą ucierpieli wszyscy. Stateczki wycieczkowe wożące turystów po wodach zalewu od kilku tygodni stały beczynnymi, przycumowanymi przy największym pomoście. Większość sklepików z dupelami, które mogłyby zainteresować znudzonych turystów, stała zamknięta na głucho. Cztery miejscowe restauracje pozwalały sezonowym pracownikom i otwierały podwoje wyłącznie w niedziele. Nie wiodło się również sąsiadom – wiosną niefartownie

zainwestowali wszystkie oszczędności w dmuchane zamki do skakania, która to inwestycja leżała sobie spokojnie w garażu w oczekiwaniu na słońce. Aga, najlepsza koleżanka Hanki, była zrozpaczona. Gdyby nie jej skromna pensja bibliotekarki, zapewne oboje z mężem pomarliby z głodu.

– Mówię ci, jestem kompletnie załamana! – poskarżyła się kiedyś. – Paweł chodzi przybity, aż serce mi się kraje, jak na niego patrzę. Miało być tak pięknie, a wyszło jak zwykle. Ten jego nowy dmuchany interes tylko kurzy się w kącie! On sam szuka jakiejś roboty w budowlance. W końcu to jego fach, ale sama wiesz...

– Wiem, wiem. Pogoda – Hanka weszła jej w słowo.

– Przy takiej wilgoci nikt nie robi remontów! Cała branża leży i kwiczy.

– U mnie też totalna masakra. To nie do wiary, że głupi deszcz może popsuć aż tyle!

– Ależ może! Może nawet jeszcze więcej. Za chwilę pogniją plony, ceny znów skoczą. A że trzeba nadrobić straty, wszystko podrożeje. Jak podrożeje, to ludzie mniej kupią. Pomijając fakt, że jeśli nie zarobią, nie będą mieli za co.

– Dobrze, że chociaż książki czytają...

– Ech... – westchnęła Agnieszka. – Przy obecnych cenach książek biblioteka to wprawdzie dobre wyjście, ale tylko jeśli jest kasa na nowości. Sama wiesz. Przychodzisz i chcesz czegoś, czego jeszcze nie przeczytałaś, a tu albo musisz poczekać na przetarg, albo na kogoś, kto sprzeda mi tytuł w cenie makulatury.



– Wszystko jest nie tak. Nasza miejscowość umiera. Dzieci się nie rodzą, a te, które już pojawiły się na świecie, przy pierwszej okazji wyjadą w te pędy. Pracy nie ma, tylko w sezonie. I właśnie na to liczyłam...

Hanka zapakowała szczelnie w foliową siatkę dwa premierowe tytuły, otrzymane po znajomości, i dla pewności upchnęła je pod pachą, pod przeciwdeszczowym płaszczem. Od wczoraj na niebie nic się nie zmieniło, więc darowała sobie wyjście do pracy. Otwieranie straganu w takich okolicznościach przyrody byłoby pustym przebiegiem i okłamywaniem samej siebie. Nawet gdyby zdarzył się cud i z nieba spadłby jednak jakiś amator gofrów i hot dogów, zanim Hanka rozmroziłaby składniki i uruchomiła sprzęt, zniechęcony klient zapewne by sobie poszedł. Błędne koło.

Kichnęła głośno i głębiej nasunęła kaptur na oczy. Wymacała w kieszeni klucze od domu.

– Cześć! Widzę, że sobie dzisiaj odpuściłaś. – Marcin tryskał humorem i energią. – Nie zastałem cię nad zalewem, więc przyjechałem tutaj.

– Witaj – odparła zaskoczona Hanka i zakłęła w duchu.

Gdyby choć trochę spodziewała się tej wizyty, wytuszowałaby rzęsy i użyła błyszczyka. Tylko ociupinę. Żeby poprawić smętny wizerunek, a jednocześnie nie sprawić wrażenia, że się wyszykowała dla dopiero co poznanego faceta.

– Niestety, nie mam zbyt dobrych wieści.

– Co się stało? – Hanka zaniepokoiła się nie na żarty.

– Nic się nie stało. Wpuścisz mnie czy będziemy moknąć tutaj? – Marcin uśmiechnął się czarująco.

– Proszę. – Dziewczyna gestem zaprosiła go do środka. – Herbaty, kawy?

– Dziękuję, nie. Za chwilę wyjeżdżam. Czas wracać do domu. Wpadłem przed wyjazdem, żeby przekazać ci prognozę na najbliższy czas. Obiecałem.

– Na co się zanosi?

– W tym rejonie Polski będzie tragicznie. Mówiłem ci, że mam znajomości w wojsku, prawda? Chłopcy się przyłożyli i przewidzieli z dużym prawdopodobieństwem, że ten cholerny niż utrzyma się tutaj jeszcze przez co najmniej cztery tygodnie.

– Boże...

– No właśnie. Miejscowi mówią, że jak już się deszczowe chmury usadzają nad tymi górami, to na długi czas.

– Wiem – mruknęła zrezygnowana. – Zatem nie mam chyba innego wyjścia, jak zrezygnować z biznesu. I tak muszę zapłacić za lipiec, a nie wiem z czego. Chyba sprzedam komputer...

– A nie wolałabyś laptopa?

– Dziwne pytanie. – Spojrzała na Marcina jak na wariata. – Każdy by wolał.

– To umówmy się, że jak opchniesz swojego peceta i popłacisz długi, ja przyślę ci notebooka.

– Że jak? – Hanka wytrzeszczyła oczy. – Że co mi przyślesz?

– Spokojnie, kobieto. W firmie co dwa lata wymieniamy cały sprzęt komputerowy. Zazwyczaj jest problem, co zrobić ze starym.

– Dwa lata to dla ciebie stary? – Hanka zamrugwała. Sprawiała wrażenie, że nie wszystko do niej dociera.

– Dla mnie nie, ale dla mojej księgowej i owszem. Po upływie dwóch lat kończą się gwarancje, leasingi i możliwość wliczania wydatków w koszty. Dalsze użytkowanie się nie opłaca. To jak? Przysłać ci jeden? Dla mnie to nie problem.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej. Jeśli choć trochę mogę ci pomóc, czemu nie?

– Ale ja nie mam pieniędzy...

– A ja nie umiem robić nalewki z pigwy! – odparował lekko zirytowany Marcin. – Masz może jakąś zbędną buteleczkę na stanie?

– Mam.

– No to dawaj i będziemy kwita – parsknął śmiechem.

– Bierzesz dwie butelki i orzechówkę! – Hanka dobiła targu.

– Załatwione. Zapisz mi swój adres.

## Rozdział 2

**K**aja proszona do telefonu! – W studiu rozległ się ostry głos asystentki. – Dzwonią ze Szpitala Praskiego! – oznajmiła krótko, podając słuchawkę wiotkiej blondynce.

Ta machinalnie odpięła od bluzki maleńki mikrofon.

– Kaja Lewińska, słucham?

Pobladła jak płótno, czego nie była w stanie ukryć nawet gruba warstwa telewizyjnego makijażu. Nauczona latami praktyki, jak trzymać nerwy na wodzy i zachowywać kamienną twarz w sytuacjach krytycznych, Kaja siłą woli powstrzymała emocje. Każdy na jej miejscu zapewne by się rozplakał, ale ona, jako profesjonalistka, doskonale zdawała sobie sprawę, że chwila słabości przysporzy roboty charakteryzatorce. A to z kolei przedłuży i tak opóźnione nagranie.

– Dziękuję za informację. Skontaktujemy się z państwem najszybciej, jak będzie to możliwe. Nie, nie. Nie trzeba. Powiadomię rodzinę.

Kaja wcisnęła na aparacie klawisz z czerwoną słuchawką. Powstrzymała napływającą do oka pojedynczą łzę.

– I co się tak gapicie? Nikt wam nigdy nie umarł?

– A kto nie żyje? – padło zza kamery w głębi studia.

– Mój ojciec... – powiedziała i natychmiast wzięła się w karby. – Może ktoś w końcu ruszy dupę i poprawi mi ten puder, co? Dobrze, że maskara jest wodoodporna. Ech, co za wiadomość... – prychnęła. – Na czym stanęliśmy?

– Naszemu gościowi spłonęło gminne mieszkanie. Od pół roku czeka na lokal zastępczy. Gość pracuje dorywczo na budowach, w domu bezrobotna żona i szóstka bachorów. Wiesz, co robić. Klasyka.

– Ale dotarł już wreszcie? Przez niego mamy obuwę. – Kaja wściekła się nie na żarty.

– Dajże spokój! Dotarł.

– Zaczynamy nagranie!

Po studiu przeleciał szmer.

Kaja usiadła w fotelu, wystudiowanym ruchem krzyżując długie nogi tak, aby było widać wypożyczone, kosmicznie drogie buty od jakiegoś europejskiego projektanta. Całe szczęście, że nie musiała w nich chodzić, bo były o dwa numery za duże.

Przywdziała oficjalnie miłą maskę i zwróciła się w stronę centralnej kamery. Uprzejmie przedstawiła gościa i kompetentnie przeprowadziła go przez audycję. Gdy ogłoszono koniec nagrania, wstała bez słowa i nie żegnając się z nikim, wyszła ze studia.

Po drodze cisnęła w kąt wypożyczone z firmowego salonu obuwie, oddała stylistce przyciasny żakiet.

Narzuciła na ramiona własny markowy trencz, najnowszy krzyk mody za ciężkie pieniądze, wsunęła stopy w aktualnie najmodniejszy model miejskich gumiaków i wybiegła na parking.

Nowiutkie sportowe audi tym razem nie wywołało na twarzy właścicielki zwyczajowego uśmiechu. Kaja, zanim uruchomiła silnik, posiedziała w nim przez chwilę.

Pomału docierało do niej, że ojca już nie ma.

Choć nie epatował nadmiernym przywiązaniem do córki, to właśnie on po rozwodzie zatroszczył się o Kaję. Jego była już żona najwyraźniej nie nadawała się na matkę nastolatki, gdyż wiek dziecka bezlitośnie celował w jej metrykę, którą ona ponad wszystko pragnęła podrzeć, spalić, sfalszować, zetrzeć na proch lub diabli wiedzą co jeszcze. Byleby tylko nie zdradzić się przed otoczeniem z własną, hmm, dojrzałością.

Matka Kai, zapatrzona w siebie niespełniona aktorka, niegdyś uparcie próbowała sił w polskich serialach. Gdy rodzime produkcje boleśnie obnażyły jej brak talentu, nie poddała się, lecz postanowiła wyruszyć za granicę (również bez sukcesu). Obecnie mocno już zasuszona pani, niepotrafiąca zaakceptować upływu czasu, trwoniła fortunę na rozmaite zabiegi mające powstrzymać proces starzenia. Mówiąc bez ogródek: matka Kai była próżna. A jeśli wzięło się pod uwagę miąższość ducha i wątpliwą urodę – całość nie wprawiała w zachwyty.

Córka odziedziczyła po niej całkiem sporo cech, choć stonowanych wpływem genów ojcowskich, z dobrej genealogicznej gałęzi.

Rzucała się w oczy zwłaszcza jej uroda; oryginalne rysy zapewniały Kai rozpoznawalność. Píwne oczy, o kształcie migdałów, okolone jedwabistymi rzęsami, odruchowo posyłały uwodzicielskie spojrzenia – uwielbiane przez męską część widowni – na lewo i prawo. W kobietach zalotne zerknięcia nie wywoływały aż takiego entuzjazmu, ale i one nie mogły odmówić wdzięku dziewczynie prowadzącej popularny program w ramach telewizji śniadaniowej.

Efektowna prezencja Kai niewątpliwie była dobrą przepustką do świata mediów, ale kluczowym dla kariery okazał się zupełnie inny atrybut.

Uroczą dziennikarką była po prostu tytanem pracy, który rzeczy niemożliwe załatwiał od ręki. Niesłychana wręcz ambicja i konsekwencja sprawiały z kolei, że Kaja parla przed siebie jak taran. Przeszkody forsowała szturmem lub zwyczajnie je omijała, kompletnie nie przejmując się, czy gra przy tym fair, czy trochę mniej. Interpretowała świat w najwygodniejszy dla siebie sposób, a sugestie menedżerki, że niektóre zagrania są poniżej pasa, zbywała śmiechem albo niecierpliwym parsknięciem. W zależności od humoru. Odkąd pamiętała, wyznawała zasadę, że da się zrobić wszystko. Na stwierdzenie, że coś kogoś przerasta, reagowała niezmiennie.

– Cóż, jesteś albo głupi, albo leniwy – mówiła, wdzięcznie trzepocząc rzęsami, aby złagodzić złośliwy ton, pełen słabo skrywanej pogardy.

Pod aniołkową powierzchownością niewiniątka, która zwiódła już niejedną osobę, krył się charakter twardy i nieustępliwy. Już jako dziecko, zapewne

pod wpływem matki, Kaja uznała, że zostanie telewizyjną gwiazdą. W liceum postanowiła zainwestować w siebie i zabrała się do nauki języków obcych. W trosce o doskonałą sylwetkę trenowała taniec towarzyski. Pod koniec ogólniaka założyła bloga o modzie; pomijając konfliktowy charakter i bezwzględne zagrania, w temacie odzieżowych stylizacji miała naprawdę niezłego nosa. Wystarczył niespełna rok, aby zarówno blog, jak i twarz jego autorki stały się na tyle rozpoznawalne, że Kaja w cuglach wygrała ogłoszony przez lokalną stację telewizyjną casting na presenterkę.

Jak szalona rzuciła się w wir nowych zawodowych wyzwań. Łącząc pracę w telewizji z dziennikarskimi studiami, dawała z siebie wszystko. Doskonale wiedziała, że ten wysiłek kiedyś zaprocentuje i zwróci się z nawiązką. I tak też się stało: pod koniec studiów znała perfektnie trzy obce języki, pisanie pracy magisterskiej szło jej jak po maśle, a kariera medialna wreszcie nabrała tempa. Kaja w dniu odebrania dyplomu dostała autorski program. Od dawna czuła znużenie prezentowaniem bzdurnych nowinek dla gospodyń domowych, więc niemal skakała z radości. Wprawdzie stacja telewizyjna miała ledwie lokalny zasięg, za to ambitna prowadząca – pełną swobodę w kreowaniu audycji. Kaja, nie w ciemną bitą, z premedytacją zagięła parol na dużo od siebie starszego dyrektora programowego. Maciej, pięćdziesięcioletni wpływowy kochanek, był ukoronowaniem jej starań na ówczesnym etapie życia. Sprytna dziewczyna, świadoma własnej inteligencji i powabu, w mig omotała mężczyznę, przykładowo do tej pory męża

i ojca trójki dzieci, zadbanego i przystojnego, i sobie nie krzywdowała. Na pierwszym miejscu listy jej ówczesnych priorytetów było trzymanie gościa w garści. Z jednej strony często zapewniała go o swojej lojalności i wielkim uczuciu, zaledwie od czasu do czasu sugerując delikatnie, że w razie niesubordynacji wystarczy słówko... Cóż, była panią sytuacji.

Jednak gdy tylko na horyzoncie pojawił się inwestor z ofertą przejęcia ich stacji i docelowego wchłonięcia przez potentata o zasięgu krajowym, Kaja uznała to za kolejny uśmiech losu. Korzystając z osiągniętej pozycji, wymogła gwarancję zatrudnienia i zapewnienie, że jej program, w który zdążyła włożyć mnóstwo pracy, trafi na ogólnopolską antenę. Mając w kieszeni kontrakt i pewność, postanowiła zrobić sobie krótkie wakacje. Już wcześniej zdążyła się zorientować, że współpracujące z telewizją biura podróży wcale nierzadko sponsorują programy tematyczne, zatem śmiało przekonała właściciela jednego z nich o swoim zainteresowaniu, zapewniając go, że w ramach lokowania produktu zamieści w programie informacje o wakacyjnej ofercie firmy. Facet złapał się na haczyk w sekundę i w ten oto sposób na biurku Kai już następnego dnia wylądowały dwie propozycje wypoczynku – jedna w Maroku, druga w Tunezji. Dziewczyna, świadoma, że poza sezonem i tak nie zapłaciłaby wiele, zażyczyła sobie podniesienia hotelowego standardu, a gdy spełniono jej zachciankę, łąskawie zgodziła się pojechać. Nawiasem mówiąc, już zapomniała, kiedy mogła pozwolić sobie na taki wypad po raz ostatni. Upewniła się jeszcze, że wybrany

marokański kurort nie jest zbyt popularny wśród Polaków, co miało zapewnić jej anonimowość, i ochoczo przystąpiła do pakowania.

Gdy w końcu wsiadła do samolotu, myśląc o najnowszych zwiewnych fatałaszkiach, kupionych specjalnie na wyjazd, nie zwróciła uwagi na siedzącego nieopodal obcokrajowca. Zauważyła go dopiero pod koniec lotu. Uwagę Kai zwróciła jego rozmowa ze stewardesą; angielskim posługiwał się biegle, jednak z charkoczącym akcentem, charakterystycznym dla Holendrów. Przyjrzała mu się bacznie – chłopak musiał być mniej więcej w jej wieku. Na amsterdamskiej ulicy zapewne by się nie wyróżniał: wysoki, dość szczupły, choć postawny szatyn o pociągłej twarzy i jasnoblękitnych oczach. Przyglądającą mu się blondynką zainteresował się natychmiast, nawiązując kurtuazyjną konwersację. Podróżował samotnie. Gdy okazało się, że ma się zatrzymać w tym samym hotelu, w którym zamieszka Kaja, przesiadł się na siedzenie obok.

Rozmowa zesłała na bardziej osobiste tory.

Po owych krótkich wakacjach Kaja wróciła do Polski szczęśliwa, zrelaksowana, wypoczęta i... w ciąży. Ten ostatni fakt absolutnie nie mieścił się w jej planach. Była wściekła. Kombinowała wprawdzie, by wmówić polskiemu kochasiowi, że w marokańskim hotelu podano jej podstępem pigułkę gwałtu, ale po krótkim namyśle uznała, że dziecko nie tylko zrujnuje jej nabierającą rozpędu karierę, ale i zniszczy idealną figurę.

– Kochanie, bój się Boga! – Starsza kobieta załamała ręce.

Dolała wnuczce herbaty.

– Babciu, pomóż mi, ja muszę komuś zaufać! Ja nie mogę urodzić tego dziecka!

– A dlaczego nie? To tylko dziecko, a nie nalot alianatów.

– Ale ja go nie chcę! Nawet nie znam nazwiska jego ojca! – rozplakała się Kaja. – Nawet jak urodzę, nie będę go kochać!

– Jesteś dorosła... – westchnęła babcia Jadwiga.

Powróciło wspomnienie sprzed lat. Jej rodzona córka, matka Kai, dwadzieścia kilka lat wcześniej w tej samej kuchni mówiła mniej więcej to samo. Pomyślała o jabłku, które pada niedaleko od jabłoni.

Decyzja została podjęta jeszcze tego samego dnia; po wstępnej wizycie w prywatnej klinice został ustalony termin zabiegu.

Procedura przebiegła przy zachowaniu pełnej dyskrecji. Rzecz odbyła się bez komplikacji, niemniej jednak gdy przyszło do płacenia okrągłej sumki, Kai wpadł do głowy pewien pomysł. Zatem gdy tylko poczuła się lepiej i powróciła do pracy, natychmiast poprosiła sekretarkę Macieja o spotkanie z szefem.

Ze łzami w oczach położyła na jego biurku pismo z wnioskiem o nisko oprocentowaną pożyczkę pracowniczą. Zaniepokojony mężczyzna nie mógł nie zapytać, o co chodzi. Gdy dowiedział się, że dziewczyna, z którą sypia od blisko roku, właśnie usunęła ciążę – oczywiście dla jego dobra – omal nie spadł z krzesła.

– Skarbie!... Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– A jak to sobie wyobrażałeś? Miałam wparować tu z brzuchem? „Cześć, kotku, zostaniesz tatusiem!”?

Przecież wiem, że masz rodzinę, dzieci. I że je kochasz. A twoja żona? Wiesz, jaki byłby z tego skandal? – Kaja spojrzała łzawo i rozszlochała się jak zawodowa aktorka.

Maciej na chwilę utracił rezon, ale pozbierał się błyskawicznie. Wydał sekretarce dyspozycje, żeby nikogo nie wpuszczą do gabinetu i nie łączyła żadnych telefonów, po czym mocno przytulił zrozpaczoną kochankę.

– Moje małe biedactwo... – szeptał czule, głaszcząc jej włosy. – Przepraszam... To wszystko przeze mnie!

– Nic się nie stało, skarbie. Ale tutaj tak bardzo boli... – Dziewczyna teatralnym gestem przycisnęła pięści do mostka.

– Jesteś bardzo dzielna. Pragnę ci jakoś wynagrodzić cierpienie. Płaciłaś z własnej kieszeni? Tak się nie godzi! Ile?

– Za kogo ty mnie masz? – Kaja zaserwowała szefowi perfekcyjny spazm w połączeniu z bezradnym spojrzeniem zaczerwienionych oczu. – Powinnam się była zabezpieczyć... Nie chcę od ciebie pieniędzy! Daj mi tylko tę pożyczkę, a ja ją jakoś spłacę.

– Mowy nie ma! – postawił się Maciej. – Nie mogę na to pozwolić!

Mniej więcej kwadrans później Kaja wyszła z budynku. Podbiegła do samochodu i upewniwszy się, że nikt jej nie widzi, wyjęła z kieszeni czek, na którym widniała pięciocyfrowa kwota. Uśmiech na podobieństwo banana w jednej sekundzie rozjaśnił jej zapłakaną twarz.

– Młaaa! – Ucałowała papier i roześmiała się w głos. – Ale kretyn!

Lekko przekrwione białka i tylko trochę rozmazany makijaż były niewielką ceną w zamian za kwotę pozwalającą na zmianę auta na lepsze i nowsze. Zanim jednak Kaja dotarła do banku, przezornie zeskanowała dokument i zarchiwizowała go w laptopie w specjalnym, zabezpieczonym hasłem folderze. Dowód to dowód, pomyślała. Diabli wiedzą, jak się rozwinię sytuacja. Zawsze to lepiej mieć haka, niż go nie mieć.

– Faceci to durnie... – mruknęła na granicy jawy i snu.

Wcześniej poświęciła kilka godzin na internetowe poszukiwania odpowiedniego samochodu, a teraz, zmęczona emocjami minionego dnia, zapadła w słodki stan alfa. W ostatnim przeblasku świadomości naszła ją wątpliwość, czy aby na pewno dobrze zrobiła, pozbywając się dziecka. Skoro Maciej okazał się takim łatwowiernym pacanem, to na nieślubnego potomkałożyłby zapewne co miesiąc okrągłe sumki. Byleby tylko sprawa nie wyszła na jaw, a jego życie rodzinne nie doznało uszczerbku... No ale rzecz była nieaktualna.

Kaja nie miała w zwyczaju oglądać się za siebie.

Przeciągnęła się w ekskluzywnej satynowej pościeli jak zadowolona kotka i zapadła w głęboki, spokojny sen.

Obudziła się rankiem, wypoczęta i rześka jak skowronek. W podskokach pobiegła do kuchni i włączyła ekspres do kawy. Nowoczesne urządzenie

powiedziało „dzień dobry” w czterech językach i przy kakofonii dźwięków przypominających burczenie, łomotanie i mielenie wylało z siebie aromatyczny ciemny napój.

– Boska... – Kaja pociągnęła łyk z pięknej porcelanowej filiżanki.

Kochała ekskluzywne przedmioty i wcale się z tym nie kryła. Uznała, że bycie snobką to nie grzech. A zresztą, jako ateistka, miała to w nosie. Gdy po rozwodzie rodziców zaczęła kontestować wiarę w Boga i inne podstawowe wartości, babcia Jadwiga robiła, co mogła, byleby wpoić wnuczce jakiegokolwiek zasady obowiązujące w życiu dobrego człowieka. Ta gorliwa katoliczka jakoś nie potrafiła pogodzić się, że Kaja zboczyła z prostej drogi. Porzucenie przez córkę rodziny przebolewała, skupiwszy się na bacznej obserwacji małej i zięcia. On początkowo schował się w skorupie cierpienia, opiekę nad córką cedując na teściową. Każdego dnia topił rozpacz w kieliszku. Zanim oprzytomniał na tyle, by zdać sobie sprawę, że dalej tak być nie może i że nie wolno mu odpowiedzialności za decyzje i wybory zrzucić na cudze barki, musiało minąć kilka miesięcy. Opamiętał się, podniósł się z błota i stawił życiu czoło dosłownie w ostatniej chwili. A przynajmniej tak mu się wydawało. Niestety, mylił się, bo Kaja jako człowiek była już dla świata stracona. Połączenie inteligencji, błyskotliwości, sprytu i bezwzględności nie wróżyło niczego dobrego.

Babcia Jadwiga była jak opoka – jedyna osoba, która zawsze potrafiła doradzić, wyłuskać prawdziwe kłopoty z morza nieistotnych błahostek. Jak nikt

umiała pocieszyć i doradzić, a przy tym zachowywała zdolność trzeźwej oceny sytuacji. Żyła wystarczająco długo, aby wiedzieć, że mądry człowiek powinien uczyć się na błędach innych, a z obserwacji wyciągać stosowne wnioski. Niestety, nie mieli o tym pojęcia inni dorośli w jej otoczeniu. Córka, na którą od zawsze nie było bata, zachowywała się mało racjonalnie. Skutki jej działań przypominały krajobraz po naloce szarańczy albo zgliszcza. Przebojowa wnuczka szła przed siebie po trupach, więc było oczywiste, że doskonale da sobie radę w życiu, dopóki nie przegnie. A zięć? Zięć był najrozsądniejszym mężczyzną, jakiego dane było Jadwidze poznać. Zapalali do siebie wzajemną sympatią już od pierwszego spotkania. I choć starsza pani przyznawała się do tego niechętnie, przez czas trwania małżeństwa córki zawsze trzymała stronę ojca Kai. Widziała, jak się miota, jak walczy o dziecko i żonę. Dostrzegała, jak wiele poświęca, by życie układało się normalnie. Niestety, związek się rozpadł. Córka Jadwigi nie sprostała zadaniu i podwinąwszy ogon pod siebie, dała nogę do Stuttgartu.

Gdy zięć przypłacił swoje poświęcenie zdrowiem, oparcie znalazł właśnie w teściowej. Teraz, po jego odejściu, Jadwigę ogarnął żal; pustka była tak namacalna, że aż przerażająca. A że kobieta nigdy jeszcze nie zawiodła się na własnej intuicji, w dniu pogrzebu nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś się święci.

Nie złego czy dobrego, ale coś dziwnego właśnie.

Na cmentarzu pojawiły się tłumy. Nie było się co łudzić – oczywiście ze względu na Kaję i jej rosnącą pozycję. Ostatnio coraz częściej twarz wnuczki

zdobiła okładki kolorowych czasopism dla kobiet, a ona sama bywała zapraszana na wszystkie ważniejsze imprezy. Ta popularność jak magnes przyciągała wszelkiej maści wazeliniarzy, pragnących choć przez chwilę ogrzać się w blasku sławy. Kaja nie była głupia i całą tę zgraję nadszkakujących lizusów miała w głębokim poważaniu, aczkolwiek uwielbiała ich hołdy. Choćby i nieszczerze.

Po uroczystej ceremonii na Powązkach wybranych najważniejszych gości zaproszono na eleganckie przyjęcie, które w niczym nie przypominało tradycyjnej stypy. Wytworne wnętrza i suto zastawiony szwedzki stół zrobiły odpowiednie wrażenie. Towarzystwo gawędziło wesoło, dzierżąc w dłoniach talerzyki z wykwintnymi przekąskami. Wraz z opróżnianiem kolejnych skrzynek wina atmosfera stawała się coraz bardziej swobodna. Jadwiga z trudem kryła oburzenie. Po pierwsze, było jej przykro, że jej własna córka zignorowała zaproszenie na pogrzeb byłego męża, po drugie, to, co widziała, przypominało raczej bankiet dla bandy narcystycznych bufonów, a nie ostatnie pożegnanie człowieka, który – koniec końców – okazał się naprawdę przyzwoity. O ile jeszcze przedstawiciele świata mediów zachowywali się w miarę godnie, o tyle ci wywodzący się z internetowego modowego półświatka wprawili starszą panią w osłupienie. Nie dość, że wyglądali jak przebierańcy, którzy pomylili imprezy, to do tego zachowywali się jak zgraja zakompleksionych pajaców. Przesadne makijaże, krzykliwe stylizacje i ostentacyjne zachowanie musiały razić każdego spoza ich wymyślonego świata.



Nie wiadomo kiedy stypa zmieniła się w huczną balangę.

Jadwiga w milczeniu dokończyła swoje foie gras z brusznicą, skosztowała tiramisu, skubnęła nieco wiedeńskiego serniczka i przez nikogo nie niepokojona powróciła do domu. Miała coś do załatwienia. Coś, co od dawna nie dawało jej spokoju.

Nieśpiesznie zdjęła płaszcz i starannie odwiesiła go do szafy. Zaparzyła ulubioną herbatę darjeeling i sięgnęła do starego sekretarzyka. Z maleńkiej szufladki wyjęła zaklejoną kopertę, na której widniał napis: „Odczytać w dniu mojego pogrzebu”, i drżącymi z emocji dłońmi rozerwała kopertę. Jej oczom ukazała się kartka zapisana równym pismem. Jadwiga założyła okulary, przeczytała całość trzy razy, dla pewności, i odetchnęła głęboko. Wstała i napełniła wiśniówką stary kryształowy kieliszek.

– To trzeba oblać! – powiedziała do siebie i podniosła dłoń w symbolicznym toaście.

## Rozdział 3

**S**zlag jasny by trafił tę drogę! Cholerna prowincja, tfu! Pieprzona Polska C! – klęła Kaja w komórkę.

Właśnie złapała gumę. Stała na poboczu jakiejś wiejskiej drogi i próbowała wezwać pomoc.

– Niechże pani spojrzy na nawigację! Jeśli nie powie mi pani, gdzie pani jest...

– A gównu mnie to obchodzi! – Kaja była bliska płaczu. – Pan wie, jakie tutaj są dziury? Jak stoły!

– Ale ja muszę widzieć. Inaczej pani nie pomogę. – Mężczyzna po drugiej stronie zaczynał tracić cierpliwość.

– A chrzań się, indolencie! Nie mam nawigacji! – warknęła i przerwała połączenie. – No to pięknie...

Nie miała pojęcia, gdzie jest, a na dodatek nie umiała się obchodzić z tak zwanym zestawem naprawczym do koła. A nawet gdyby umiała, nic by jej to nie dało. Bo niebo właśnie postanowiło wylać na ziemię rześiste strugi deszczu.